

Ziemia 1957 nr 7  
TC-OK-5515-3

**T**rudno nam dzisiaj nawet wyobrazić sobie warunki sanitarne panujące niegdyś w ścieśnionych, zamkniętych średniowiecznymi murami miastach. Wąskie, niebrukowane i pozbawione chodników ulice, brak kanalizacji i oświetlenia, woda dowożona beczkami z nielicznych studni — to były główne powody, dla których epidemie czy też pożary przybierały najczęściej katastrofalne rozmiary. Środki, jakie wówczas stosowano dla poprawienia sytuacji były z dzisiejszego punktu widzenia wręcz humorystyczne. Oto zarządzenie magistratu warszawskiego:

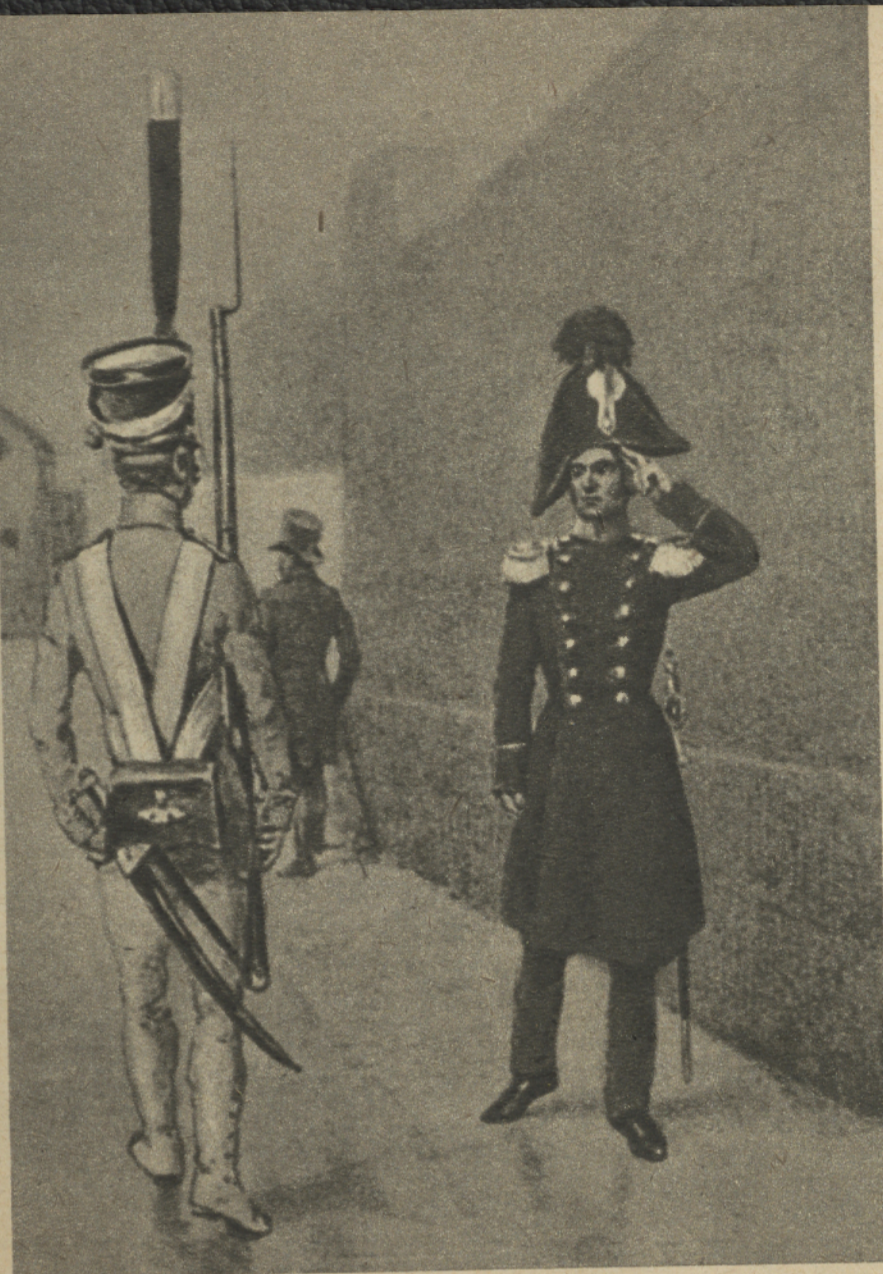
„...aby zaś przykrość mieszkającym nie była zbyt wielka, chędożący kloaki mają w drogach zachować alternatę, tak aby zawsze nie jedną drogą jeździli, ale w równej proporcji czasu wywózkę swą odmieniali...”

Nic więc dziwnego, że co zamożniejsi mieszczanie budowali sobie chętnie domy pod miastem, wybierając na ten cel miejscowości położone możliwie blisko murów miejskich zarówno z uwagi na bezpieczeństwo w wypadku najazdu wroga, jak i łatwą komunikację w okresie pokoju. Najbardziej pożądane były oczywiście tereny znajdujące się niedaleko wody biejącej. W Warszawie warunkom tym odpowiadały najbardziej północne okolice miasta, gdzie Wisła płynęła bezpośrednio przy wysokiej, zachodniej skarpie.

Zaraz za murami miasta, aż do puszczy młocińskiej, rozciągały się tam tereny wsi Półków, przez które przepływała nie istniejąca dzisiaj nie-

wielka rzeka Drna, zwana niekiedy Drzasną lub Bełcząca. Wypływała ona ze stawów położonych na granicy wsi Powązki (stąd nazwa ulicy Stawki), płynęła łukiem na północ, przecinała dzisiejszy tor kolejowy i wpadała do Wisły na wysokości dzisiejszego Placu Komuny Paryskiej. Rzeczka ta od najdawniejszych lat była obiektem żywego zainteresowania bogatszych mieszczan warszawskich. Budowano nad nią domy mieszkalne, zakładano młyny, stawy rybne, folusze, papiernie, browary.

Przylegająca do Wisły część terenów wsi Półków, między rzeczką Drną a murami miasta, była własnością szpitala Św. Ducha, najstarszej w Warszawie instytucji dobroczynnej, sprawującej opiekę nad starcami i kalekami. Materialną podstawą działalności szpitala były dochody z folwarku położonego nad Drną oraz dotacje wielmożów, którzy w ten sposób usiłowali zapewnić sobie wieczne



# DZIELNICA BOGATYCH MIESZCZAN

WACŁAW STERNER



Powyżej: wycinek planu miasta Warszawy opracowanego w roku 1779 przez majora Hennequin. Na planie zacięto kontur wzniesionej później cytadeli, oraz fortów Aleksiego i Włodzimierza. Zakresowano ten obszar przedpoja twierdzy, na którym władze carskie wyburzyły budynki mieszkalne.

U góry z lewej: tak wyglądały mundury grenadierów Gwardii Polskiej, którzy w czasach Królestwa Kongresowego zakwaterowani zostali w koszarach Gwardii Piechoty Koronnej na Żoliborzu.

Obok: widok na dziedziniec koszarowy i koszary Gwardii Piechoty Koronnej wg współczesnej ryciny.



TEKST I ZDJĘCIA:  
T A D E U S Z C H R Z A N O W S K I

# POŻEGNANIE P N I O W A

Nasza znajomość nie trwała długo. Nie trwała więcej niż godzinę. Było to 31 sierpnia 1955 r. Jadąc z Opola do Bytomia zboczyłem — tuż za Toszkiem — z szosy głównej. W pośpiechu który niestety zawsze towarzyszy moim wyprawom, wykonałem kilka zdjęć, potem odnalazłem kościelną, a gdy ta z pewnym ociąganiem otwarła kościół, „cyknałem” jeszcze trzy zdjęcia stropu i natychmiast ruszyłem w dalszą drogę. Mniej więcej w pół roku później — 13. II. 1956 r. kościół w Pniowie z nicustalonych przyczyn spłonął.

Żałuję teraz owej na pół obojętnej postawy wobec poznawanych zabytków: „przecież jeszcze kiedyś tu powrócę”. Żałuję, że zamiast kilku zdjęć zrobionych trochę „aby zrobić” nie wykonałem, przy niewielkim stosunkowo nakładzie czasu i pracy dokładnej fotograficznej inwentaryzacji zabytku.

Próżne żale. „Pniowa” już nie ma. Nie ma jednego z najpiękniejszych i najstarszych kościołów modrzewiowych Śląska. Zostały zetłale belki zrębu i niemieckie pomiary. I to dobrze. Ileż zginęło — w innych okolicach Polski — drewnianych zabytków, i to nawet w ciągu ostatnich lat, po których nawet śladu nie pozostało (jak np. po kościele w Iwkowej w pow. brzeskim). Nie wiem jaki jest stan pozostałych fragmentów kościoła w Pniowie. Może podjęte będą próby odbudowania zabytku. Ale bezpowrotnie przepadł czar budowli, jej miękko pod zielenią starych drzew przycupniętej bryły, urok ciasnego wnętrza, urok późno-gotyckiego malowidła na stropie.

Kościółek zbudowany został w r. 1506 lub niewiele wcześniej (data w napisie o treści dewocyjnej pod stropem). Należąc do grupy najstarszych kościołów na Śląsku posiadał ową prostą „gotycką” (o ile określenia stylowe w ogóle pasują do dzieł budownictwa drewnianego) bryłę złożoną z dwóch zbliżonych do kwadratu przestrzeni: niewielkiego prezbiterium i nieco szerszej nawy. Wieża powstała zapewne o wiele później — jej oryginalność polegała na tym, że przykryto ją dachem

przedłużonym z nawy. Dach ten o wydatnym okapie rozszerzał się w miękki „kapeluszyk” — ośmiobok zwieńczony barokową latarnią z baniastą kopułką. Wokół prezbiterium i północnej ściany nawy obiegały soboty. Zwłaszcza od północy kościółek prezentował się niezwykle malowniczo dzięki dachowi, który spływając z prezbiterium na zakrystię, przechodził równocześnie na soboty — istny zastępy gontowy wodospad.

Wnętrze skromne i zachwycające zarazem. Niewielkie ołtarzyki, ambona, chór muzyczny — ot, taki sielski baroczek, na którym rozciągała się płaszczyna stropu, barwna, bujna, niesforna — pozbawiona sztywnej symetrii jak stare tkaniny. Stare tkaniny lub malowane skrzynie chłopskie: to skojarzenie nasuwało się zwłaszcza przy oglądaniu prezbiterium. Tu malowidła pochodziły co prawda w większości z epoki nieco późniejszej (XVII w.?), lecz powtarzały dobrze znane i mocno zakorzenione motywy zdobnictwa ludowego. Wchodzącego uderzało natychmiast podobieństwo: toć to bliski krewny Dębna podhalańskiego, Harklowej czy Małujowic — patronowa dekoracja desek, radująca oko barwnością drobnych wesołych motywów. W nawie już rozwinięta dekoracja — pomiędzy kasetonami o dużych, nieco naiwnych rozetach popiersia świętych, gotyckie jeszcze w swej płaszczynowości i linearności. Była tam i św. Małgorzata, dostojna księżna z małym smokiem niby tresowanym pieskiem, i św. Jakub starszy, brodaty pielgrzym z kosturem wędrownym i muszlą, i św. Wacław, piękny rycerz „bez zmyy i skazy” i jeszcze św. Dorota, św. Filip i św. Jakub młodszy. Wokół stropu, w zwieńczeniu obiegał napis majuskułą późnogotycką, który upraszał o błogosławieństwo *pro domum istam* i podawał cytowaną wyżej datę wykonania polichromii.

Do owego malarskiego wystroju należał i chór muzyczny, a jakkolwiek o wiele późniejszy (około 1700 r.) interesował ciekawą ikonografią — na



jego parapecie sześć kolejnych scen opowiadało o życiu i śmierci św. Wacława (kościół był pod jego wezwaniem).

W ciągu ostatnich kilku lat Śląsk poniósł dwie niepowetowane straty i to na terenie jednego tylko powiatu: w r. 1952 spłonął niedaleko od Pniowa położony kościół drewniany w Chechle. I tam znajdowała się polichromia z tegoż samego czasu. Jeszcze dwa — trzy tego rodzaju pożary, a jeden rozdział historii budownictwa na Śląsku zostanie wymazany.

P. S. W nr 3/34 Ochrony Zabytków ukazał się artykuł również poświęcony kościółkowi w Pniowie — niestety nie pozbawiony błędów i przeoczeń. Autor pisze, że Pniów jest najstarszym kościołem drewnianym na Śląsku (1506), a nieco dalej podaje, że do tej samej

grupy co Pniów zaliczają się kościoły w Laczy (1490), Księżym Lesie (1499) i Syryni (1510). Dorzucić by tu można było kościół w Szalszy datowany na około 1460 r. W każdym razie spośród pewnie datowanych starszych od Pniowa jest chociażby kościół w Laczy, którego zewnętrzna bryła najlepiej może wśród kościołów śląskich reprezentuje najwcześniejszą zachowaną fazę budownictwa drewnianego.

Innym błędem cytowanego artykułu jest zamieszczenie zdjęcia zreprodukowanego z niemieckiej inwentaryzacji, które bynajmniej nie przedstawia wejścia do kościoła, lecz odrzwia chaty w Pniowie zwanej starą plebanią. Kościół w Pniowie nie posiadał zresztą interesująco opracowanych wejść w odróżnieniu od Laczy, gdzie ostrołukowe portale posiadają urozmaicony profil.

U góry: taka polichromia zdobiła strop nawy drewnianego kościółka w Pniowie. Poniżej: widok kościółka od południa.



# Natural History

## ZAGADKA

## GŁĘBIN

Kanikuła. Trzeba pisać o wężu. Oczywiście o morskim wężu. O nim to bowiem opowiada na łamach amerykańskiego magazynu geograficzno-krajoznawczego Richard Carrington, były lotnik RAF-u, przyrodnik i pisarz zarazem. „Wąż morski — zagadka głębin” to skrót jednego z rozdziałów jego nowej popularnonaukowej książki, opatrzonej dość niezwykle tytułem — „Syreny i mastodonty”.

„Szóstego pojawiło się straszliwe zwierzę morskie, wynurzywszy się z wody tak, że głowa przewyższała nasz główny maszt. Miało długi, szpiczasty pysk i dmuchało jak wieloryb...” — pisze norweski misjonarz Hans Egede o zaobserwowanym przez siebie potworze u wybrzeży Grenlandii. Było to w roku 1734. O wężach morskich pisano już oczywiście dawniej, tu jednak po

U wybrzeży Orkadów odnaleziono jakoby szkielet autentycznego morskiego węża! Cóż, kiedy niebawem okazało się, że jest to po prostu szkielet jednej z odmian rekina.

W południe, 10 sierpnia 1817 r. pierwszy zobaczył go u brzegów Nowej Anglii niejaki Amos Story. Zwierzę unosiło nad wodą swą podobną do żółwiej głowę. Grube, długie ciało płynęło z

olbrzymiego co najmniej osiemnastometrowego węża, który sztywno wyprostowany, płynął po powierzchni fal, unosząc głowę. Był ciemnobrunatnego koloru, a z karku sterczał mu pęk jakby wodorostów. Relacja z „Dedaluśa” zawędrowała na łamy ilustrowanego tygodnika „The Illustrated London News” uzupełniona serią rysunków, nad wiernością których czuwał sam kapitan.

„Potworną rybę o kształtach węża” około dwudziestometrowej długości, o gładkiej skórze i niewielkich płetwach zaobserwował kapitan wraz z załogą i pasażerami parowca „Umfuli”. Zdarzyło się to w roku 1893, w pobliżu brzegów Francuskiej Afryki Zachodniej. Ryba przypominała wyglądem węgorza. Z rozwartej paszczy — jak dostrzeżono przez lunetę — sterczały szeregi zębów.

O ile jednak dotychczasowe relacje pochodziły z ust niefachowców, o tyle już w 12 lat

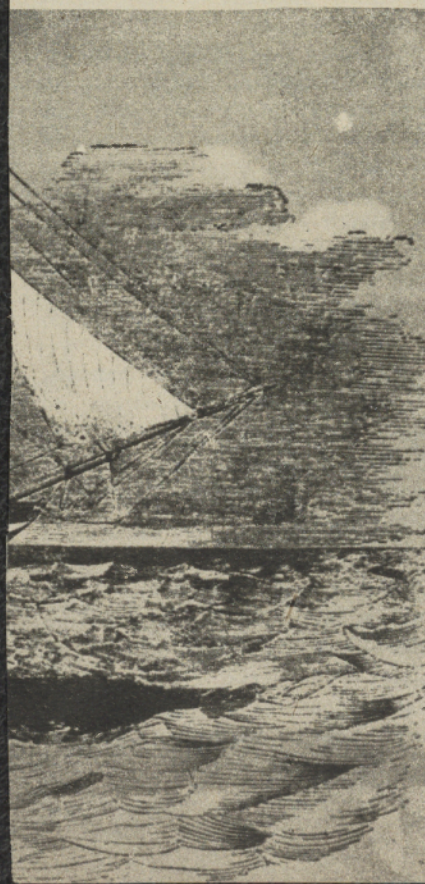
później rzecz przedstawia się inaczej. Oto bowiem dwaj członkowie Londyńskiego Towarzystwa Zoologicznego, płynąc na pokładzie jachtu „Valhalla” u północno-wschodnich wybrzeży Brazylii ujrzeli nagle sterczącą z wody wielką płetwę. W tej chwili z głębin w pewnej odległości przed płetwą wyrzała jak gdyby żółwia głowa na długim karku. Grubość cielska wynosić mogła mniej więcej tyle ile wynosi grubość tułowia dorosłego człowieka. Zoologowie wyrazili mniemanie, że ów zaobserwowany przez nich stwór był raczej morskim ssakiem niż gadem.

Kariera węża morskiego osiągnęła swój szczytowy punkt w latach 1933/34. W tym to bowiem czasie na powierzchni jeziora Loch Ness dostrzeżono jakoby węzowe skrety potwora. Ktoś widział nawet jego głowę. Ba, troje ludzi spostrzegło na wybrzeżu tajemnicze zwierzę, w chwili, gdy pełznąć krótkimi podrzutami przechodziło w poprzek szosy. Hotele szkockie zaroily się od dziennikarzy. Jakiś śmiałek proponował, że przepłynie w poprzek całe jezioro rzucając w ten sposób „wyzwanie Potworowi”, a komandor Gould opublikował 228-stronicową książkę o Potworze z Loch Ness. Niestety. Szczegółowe opisy świadków pozwalają mniemać, że była to najwyklesza foka, która dotarła do jeziora płynąc z morza w górę rzeki Ness i która po upływie przeszło roku powróciła tą samą drogą do zatoki morskiej.

Ile prawdy tkwi w całej tej historii? Niewątpliwie szereg relacji „naocznych świadków” budzi poważne zastrzeżenia. Trudno jednak odrzucić wszystkie. Najpopularniejszy pogląd na tę nieznaną istotę to hipoteza, która mówi, że wąż morski jest reliktem wielkich gadów zamieszkujących morza w erze mezozoicznej. Bardziej prozaicznym wytłumaczeniem tajemnicy są próby zaliczenia morskiego węża do okazów potężnego węgorza. Inni widzieliby w nim chętnie nieznanego bliżej morskiego ssaka, lub zgola nową odmianę wieloryba, zbliżoną do tej, która żyła na Ziemi w okresie trzeciorzędu.

Tak czy owak wąż morski do dnia dzisiejszego pozostaje Wielką Niewiadomą Mórz. Czymże już poza tym nie był w ludzkiej wyobraźni! Stalowym „Nautilus” kapitana Nemo, tajemniczym potworem straszącym wśród mgły u wybrzeży Indochin i tak dalej i dalej. Przez długie lata lojalnie pomagał dziennikarzom w ogórkowym sezonie. Wyrwał niemały wpływ na domorosłych badaczy. Powstawały prywatne teorie morskiego węża. Ale ostatnio sława węża jakoś coraz bardziej blednie. Zdyktował go zdecydowanie himalajski Snieżny Człowiek. Przyznajmy jednak szczerze, że sam sobie winien. Mógłby się przecież znów od czasu do czasu pojawić. Choćby na chwileczkę.

(L. Z.)



zbawienie. Z perspektywy 500 lat zabawne wydaje się nam skąpstwo, czy też może zmysł handlowy księcia Janusza Mazowieckiego, który za jeden mały młyn, co sam lojalnie podkreśla, chce zabezpieczyć zbawienie wieczne nie tylko sobie, ale również wszystkim swoim przodkom i potomkom. Oto wyjątek z aktu nadania:

*...chcąc, dla zbawienia dusz naszych i przodków i naszych następców, udzielić domowego szpitala ubogim przy kościele Św-go Ducha, za murami Warszawy, nasz mały młyn koło Warszawy nad rzeczką Drzasną, daliśmy i zapisujemy na własność i na prawdziwe dziedzictwo oddajemy na wieczne czasy...*

Zabudowa terenów między miastem a Drną wzmaga się w XVII wieku, gdy Zygmunt III Waza przenosi stolicę z Krakowa do Warszawy. Powstają tu liczne dworki mieszczkańskie i szlacheckie, zwłaszcza wzdłuż drogi Zakroczymskiej, a nawet pałace magnackie. W tym czasie Władysław IV buduje na skraju puszczy młocińskiej klasztor-pustelnię dla O. O. kamedułów. Wzniesiona wkrótce potem osada przyklasztorna otrzymuje nazwę Bielany, od białych habitów noszonych przez zakonników. Rozwój tej dzielnicy zostaje raptownie zahamowany w okresie wojen szwedzkich, kiedy to w wyniku zażartych walk o Warszawę, prawie wszystkie zabudowania poza murami miasta zostały spalone.

Odbudowa postępuje bardzo powoli, chociaż Jan III Sobieski polecił wybudować na północnej stronie Drny, na wzgórzu zwanym Marie Mont, pałacyk dla żony, a August II przyznał różne przywileje szpitalowi Św. Ducha. Pozostały z tego okresu tylko nazwy: Marymont na pamiątkę Marysieńki Sobieskiej i Fawory, t.j. po łacinie przywileje, jako miano szpitalnego folwarku. Zmianę przynosi dopiero połowa XVIII wieku, gdy zostaje przeprowadzona parcelacja folwarku Fawory, a właścicielami parcel stają się prywatni posiadacze. Ma to decydujący wpływ na rozwój całej dzielnicy.

Generał Stanisław Poniatowski, ojciec króla Stanisława Augusta, rozpoczyna u ujścia Drny budowę koszar Piechoty Gwardii Królewskiej, powstaje szereg nowych ulic jak Fawory, Gwardii, Bitna, Czujna, Żyzna, Tania, Zielona, przy których wznoszą zabudowania nowi nabywcy działek. Są nimi przede wszystkim bogaci mieszczańscy warszawscy (w tym bankierzy Kabryt, Łyszkiewicz, Blank, Rafałowicz), arystokracja (Lubomirscy, Radziwiłłowie, Ponińscy, Ossolińscy) i wyżsi oficerowie (Henning, Bzowski, Sztetner).

Całe osiedle przyjmuje nazwę od rozparcelowanego folwarku szpitala Św. Ducha. Decydujący wpływ na wygląd zewnętrzny Faworów miało bogactwo jego mieszkańców. Nie było więc oczywiście mowy o zwartej zabudowie ulicznej. Poszczególne budynki schowane w ogrodach, miały charakter wielkopańskich rezydencji o charakterze pałacowym, a całość przypominała pełną kwiatów i ogrodów podmiejską luksusową dzielnicę Paryża — Batignolles. Nawet służbowe mieszkania oficerów gwardii miały wystawny charakter, dostosowany do otoczenia. Oficerowi w stopniu np. podpułkownika przysługiwało 11 pokoi. Słynny plan

miasta Warszawy, sporządzony w roku 1762 przez inżyniera Ricaud de Tirregaille, podaje siedem budynków koszarowych, stojących na wysokim brzegu Wisły prostopadle do rzeki, kilkanaście mniejszych obiektów, zawierających stajnie, wozownie, magazyny i mieszkania oficerów oraz szereg ulic i budynków.

Rozkwit Faworów trwa niestety bardzo krótko. Upadek Rzeczypospolitej szlacheckiej, krótkotrwałe rządy pruskie i wojny prowadzone przez Księstwo Warszawskie doprowadziły całą dzielnicę do stanu kompletnego zaniedbania. Do dawnej świetności Fawory wracają dopiero w okresie Królestwa Kongresowego. W rozbudowanych koszarach gwardii, zwanych teraz Aleksandryjskimi na cześć cara Aleksandra I, zostają zakwaterowani grenadierzy Gwardii Polskiej i Litewskiej. Teren między ulicami Dziką i Pokorną zostaje przeznaczony przez generała Zajączka na warszawskie „Pole Marsowe”, do dworców i pałaców wracają mieszkańcy. Najczęściej nie są to jednak starzy właściciele. Bankierzy stanisławowscy, którzy potracili swoje majątki i arystokracja, która straciła zainteresowanie dla miasta pozbawionego dworu królewskiego, chętnie sprzedają posiadane na Faworach pałace i ogrody. Nowi nabywcy reprezentują nowe warstwy społeczne, skutkiem czego sielski spokój panujący za czasów Stanisława Augusta coraz bardziej ustępuje na rzecz gwaru i ruchu miejskiego.

Nowy właściciel ogrodu i pałacu bankiera Kabryta, generał Rautenstrauch — szef tajnej policji Królestwa, urządził w nim publiczny ogród zabaw, pałac Ossolińskich został zajęty przez szpital żydowski, w szeregu dworców a nawet pałacyków powstały fabryki i zakłady przemysłowe, część wolnych terenów, zwłaszcza przy ulicy Zielonej, zajęły czynszowe kamienice. Po raz pierwszy zaprowadzono w Warszawie regularną komunikację publicznymi dyliżansami ze Starym Miastem i z Bielanami. Duży wpływ na nowy charakter dzielnicy miał również słynny zakład naukowy O. O. pijarów, Collegium Nobilium, wybudowany nad brzegiem Wisły, między koszarami a miastem, na placu zwanym z francuska, zgodnie z ówczesną modą, Żoliborz, to jest piękny brzeg.

Bezpośrednio przed wybuchem powstania Warszawa liczyła 140.000 mieszkańców. Z tej liczby 10.000 osób mieszkało na Faworach i nic nie zapowiadało, że w przeciągu kilku lat ta tętniąca życiem dzielnica, po prostu zniknie z mapy miasta. Zdecydowało o tym stanowisko zajęte przez cara Mikołaja I, bezpośrednio po upadku powstania listopadowego, we wrześniu 1831 roku. Sztab rosyjski, analizując wówczas przebieg kampanii powstańczej, doszedł do wniosku, że i wybuch powstania i jego szybkie rozszerzenie się były możliwe tylko dlatego, iż wojska rosyjskie nie miały w Warszawie żadnego punktu oparcia, z którego mogłyby skutecznie przeciwstawić się powstańcom. Pogląd ten uzasadniano przebiegiem powstania belgijskiego, również w 1830 roku, kiedy to słaba załoga holenderska cytadeli w Antwerpii odparła wszystkie ataki po-

wstańców, zbombardowała miasto i została pokonana dopiero przez dziesięciokrotnie liczniejszą regularną armię francuską. Wynikiem tych rozważań była decyzja budowy w Warszawie warowni, zlokalizowanej w taki sposób, aby całe miasto znajdowało się w zasięgu ognia dział fortecznych, a załoga mogłaby być w każdej chwili użyta do akcji ulicznej.

Carowi przedłożono do wyboru dwa projekty rozwiązania: pierwszy z nich przewidywał budowę trzypiętrowej, potężnej baszty fortecznej na placu Saskim, drugi — budowę cytadeli na terenie dzielnicy Fawory. Aprobata cara Mikołaja uzyskała drugie rozwiązanie, to jest budowa cytadeli. Zgodnie z carską decyzją do realizacji projektu przystąpiono niezwłocznie, obciążając jednocześnie pokonane miasto pełnymi kosztami budowy.

Collegium Nobilium O. O. pijarów po prostu skonfiskowano, istniejące budynki koszar Gwardii przeznaczono na zakwaterowanie przyszłego garnizonu cytadeli, a prywatnych właścicieli gruntów wywłaszczono, wypłacając im jako odszkodowanie tylko niewielką część rzeczywistej wartości terenów. Obronną ręką wyszedł z tego jedynie generał Rautenstrauch, któremu wypłacono pełną należność z uwagi na zasługi jakie położył dla

Wielkiego Księcia Konstantego jeszcze przed powstaniem.

Na początku 1834 roku cytadela była gotowa. Nieforemny pięciobok twierdzy opartej o Wisłę i zajmującej, wraz z sześcioma otaczającymi ją fortami, teren jednej z najświetniejszych niegdyś dzielnic Warszawy, przez długie lata przypominał miastu groźną zapowiedź cara Mikołaja z 1835 roku: *...Dla was to, waszym kosztem, kazałem zbudować cytadelę. Skoro tylko będzie trzeba, każę miasto spalić we dwudziestu czterech godzinach. Tak, powtarzam wam to, każę spalić i bądźcie pewni, że nie pomyślę o jego odbudowaniu...* Poważnie zaciężała cytadela zwana Aleksandrowską na urbanistycę miasta, ograniczając w XIX wieku rozbudowę Warszawy wyłącznie do kierunków południowego i zachodniego.

Dopiero w 90 lat później, po upadku cesarstwa rosyjskiego i odzyskaniu niepodległości, puste dotychczas tereny na północ od miasta, zaczynają na nowo tętnić życiem, ale nazwa „Fawory” nie zjawia się już na mapie Warszawy.

Nowa dzielnica dziedziczy swoją nazwę od placu, na którym kiedyś wzniesiono Collegium Nobilium O. O. pijarów. Jest to Żoliborz.

Wacław Sterner